Ner 26. Kraków, 1go Lipca. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zobacz r. 1861 Nr. 1, 2, 4, 7, 15, 21, 22 i 42; rok 1862 Nr 4, 13, 17 i 24).

Złośliwość, kaleczące przymówki, swary, kłótnia, jakżeż kobietę wszelkiego niewieściego pozbawiają wdzięku. Wynaturzają ją zupełnie. A jeżeli dziewczynka do wad tych z dzieciństwa nawykła, i jeżeli nie starano się w dziecku wytępić, to z wiekiem rozrastają się bujniej i wstrętliwiej, szkodliwie dla niej samej w wysokim stopniu, a gorsząco dla drugich. Panna na wydaniu, czująca dobrze, ile jej zaszkodzić mogą, pokryje je przez czas jakiś, ale zawsze to wyjdą szydła z worka, i wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.

Złośliwość i kaleczące przycinki w ustach kobiety, wstręt niepohamowany w każdym obudzą. Dobroć, łagodność, względność, cierpliwość — otóż to dary, któremi Twórca uposażył niewiastę. i tych przymiotów słusznie należy się wymagać po niej. Złośliwość, to jad, i braku serca dowodzi, ztąd też kobietę kaleczącą złośliwością swoją, sprawiedliwie żmijką przezywają. Do kaleczącej przymówki niepotrzeba także i rozumu, bo widzimy nieraz, że to potrafią i ludzie wielce ograniczeni: skaleczyć dotkliwie i głupota potrafi. Powiedzmy nawet: że człowiek prawdziwie rozumny, nie chwyci się tej broni, bo ją za nieszlachetną uważa. Miewamy tego przykład niejeden (n. p. w izbach berlińskich, gdzie zacni posłowie nasi na one złośliwe niby dowciwy tylko z szlachetną odpowiadają powagą). Wyszydzić każdy b..... potrafi, a nawet im kto więcej na to zasługuje miano, tem większą zdolność pod tym względem objawia.

Rodzice wielce chybiają, gdy złośliwy koncept dziecka: przymówkę, kaleczącą odpowiedź, szydzącą uwagę, za bystrość umysłu, za dowcip poczytują, gdy cieszą się z tych wystrzałków rozumu! Jest w tem pewnie i nieco *sprytu*, ale nie rozumu, a zawsze brak serca, brak wznioślejszego uczucia, i znaczna doza zarozumialstwa. To i cóż po *sprycie* takim?! Wygładzić go raczej skwapliwie należy, jak bujne zielsko na urodzajnej roli, która płon wcale inny wydać powinna.

Nieraz nawet cały zapas umysłowy *wyekspensuje* się na takie liche koncepta i złośliwe *niby* dowcipy, rozrzutnika niebacznego, próżną tylko pozostawi skrzynię w którą już niema co włożyć. bo droga za cel niegodnie. *Wyekspensuje* się, i jak u rozrzutnika niebacznego, próżną tylko pozostawi skrzynię w którą już niema co włożyć.

Na licu niewieściem każdy odcień myśli i uczucia łacno wybić się potrafi, a tem wyraziściej złośliwość. Każdy zaś przyzna, że i najpiękniejsze rysy (dodaję: niewieściego zwłaszcza oblicza) oszpecą się potwornie, skoro je wyraz złośliwości napiętnuje.

Kobieta na wymierzony do niej złośliwy koncept, gdy odpowie złośliwie własnemu uczuciu niewieściemu ubliża. *Cierpliwość* jest jej cechą najwłaściwszą, i wszędzie i zawsze zachować ją winna. Cierpliwość przezwycięża wszystko, cierpliwość splata jej najpiękniejszy, najwonniejszy wieniec: godło chrześciańskie prawdziwie. Wyraz cierpliwości każde oblicze upiększa— *uanieli* — wyrzekłby poeta.

Swary, kłótnia, przypominają od razu... przekupkę— i kobieta, wojująca w ten sposób, zstępuje na najniższy stopień społeczności. Jeden wyraz kłótliwy na ustach kobiety, już ją oszpeci, a cóż dopiero, gdy ich całe popłyną potoki. Włosy od wstrętu powstają na głowie przy kłótni kobiecej, i jawią się mimowolnie *megiery* i *furye*. Surowo przeto powinny matki i nauczycielki przestrzegać, napominać, a nawet i karać, gdy panienki swarzą i kłócą się z sobą; bo czem skorupka za młodu nawrze, tego przysmak na zawsze przechowa.

Kobieta powinna być harmonią wcieloną w kole społecznem, zgodno-dźwiękiem, jednością. Winna godzić swarzących się, a nie drażnić; łagodzić, a nie burzyć; pieścić, a nie kąsać; głaskać, a nie drapać. Niepowinna przenigdy zaznać uczucia nienawiści, bo Bóg serce jej stworzył dla miłości... sercem żyje, i w tem jej najsilniejsza potęga i szczęście całe!

TRZY ŻONY ZYGMUNTA AUGUSTA.

Szkic historyczny;

przez Autora

ANNY JAGIELLONKI i MARYI GONZAGI.

Niejedna z naszych czytelniczek, zamiłowana w historyi ojczystej, w jej wspomnieniach wesołych i smutnych, zadała sobie cichutko pytanie, pytanie czysto kobiece: jak też to za dawnych czasów kochano? jakimi byli owi poważni królowie i zamaszyści rycerze w stósunkach sercowych, w stósunkach z owemi pięknemi a dostojnemi damami, których portrety wiszą obok konterfektów mężowskich po starych dworach i kościołach, albo rzeźbione z kamienia śpią snem marmurowym obok zbrojnych małżonków? Aczkolwiek niebrak nam licznych rysów z tej strony przeszłości, aczkolwiek znamy dodomowe stosunki większej części historycznych osób w Polsce: wiadomości te oderwane, zapisane obojętną ręką, często ascetycznego jakiego duchownego, toną nieznaczne wśród morza objawów innych stron naszej historyi, stron, które bezpośrednio tyczyły się publicznego życia. Pamiątki te, zresztą, zanadto popruszyła pleśń poważna

grobów, zlodowaciła odległość czasów, obcemi nam uczyniła odmienność obyczajów i sposobów mówienia, tak, że nie tak łatwo dójść do owego kwiatu tajemniczego, który woniał wszystkim czasom i wiekom, kwiatu miłości; że nie tak łatwo uobecnić sobie przeszłość w odpowiedzi na pytanie: „jak to dawniej kochano?“ Każda panna dzisiejsza zadrży na wspomnienie, że urodziwszy się przed trzema wiekami, byłaby się nazywała „dziewką“, a skrzywiłaby zapewne noskiem, gdyby jej konkurent zaczął mówić o „afektach, despekcie i imprezie pojęcia jej w małżeństwo;“ albo, gdyby poeta jakiś wypalił na ślub jej niedyskretne dawnych wieków i starego stylu epitalamium. Cóż dopiero powiedzieć o owej staroświeckiej potulności panienek, a nieśmiałości kawaleryi szlacheckiej, którzy, jak pan Soplica, żenili się niegadając z panną, która znowu szła za mąż na jedno skinienie rodziców!

Jak pod każdym innym względem, tak i pod tym przeszłość nasza występuje w zajmującej, poetycznej różnowzorości. Od słowiańskiej swadźby, która się dotąd w całej prostocie zachowała między ludem, aż do romansu i modnej konkurencyi nieromansowej, znajdziemy w dziejach obyczajów naszych wszystkie odcienia stósunków serdecznych i małżeńskich, znajdujemy wielkie namiętności i szlachetne poświęcenia,— a jeżeli niebrak rysów śliskości obyczajów, niebrak objawów zepsucia, to z chlubą powiedzieć możemy, że one się wdarły, ale niewyszły z naszego ojczystego domu.

Aby tę stronę przeszłości zrozumieć, trzeba się wżyć w przeszłość, trzeba rozróżnić wieczne i niezmienne własności i objawy człowieka od stosunków i naleciałości czasu; trzeba cofnąć się w te stosunki, a piędzią dzisiejszą niemierzyć kolosalnych postaci dziadów. Jak wszystko, tak i stosunki obyczajowe, wśród których miłość jedno z najważniejszych miejsc zajmuje, mają swoje dzieje, ulegają zmianom i rewolucyom, wpływającym znowu na wielki strumień dziejów narodowych i całej ludzkości. Od czasów Adama i Ewy kochali się ludzie i żenili, ale jakaż różnica między zmysłową miłością ludów Babilonu i Persyi, estetyczną rozpustą Greka, a grozą familijnych stosunków starego Rzymu! jakaż różnica między średniowiecznem, mistycznem uwielbieniem kobiet a śliskością czasów reformacyi, wolteryzmu, rewolucyi i lat cesarstwa, po których teraz dopiero wyłamuje się społeczeństwo do wyższego pod tym względem stanowiska. A zwracając się do naszych stosunków, dosyć wskazać do porównania dzieje cichych a cnotliwych szlacheckich dworów, obok wciskającej się francuzczyzny; dosyć przeciwstawić epokę Księstwa Warszawskiego, dzisiejszej naszej, chwała Bogu! o tyle moralniejszej chwili.

Przypominacie sobie szanowne czytelniczki nasze, owe romanse historyczne, w tonie... ale bez ducha Walterskotowego, w których bohaterowie i bohaterki mówiły sentymentalną romansów pani Genlis i pani Cottin dykcyą, królowie odprawiali namiętne a czułe monologi, a ćma tuzinkowych intryg i zaimprowizowanych wypadków stanowiła całą treść dzieła; przypominacie sobie romanse, które dziś drzemią w pyle prowincyonalnych czytelni, albo spoczywają pod poduszką w garderobach panien służących. Spotkałyście także niezawodnie ów drugi rodzaj niby-estetycznych utworów z przeszłości, w których daty w książkach starych czerpane, pozszywane razem w jednę różnowzorą szachownicę, a zabezpieczone w swej autentyczności odnośnikiem: „historyczne“ wiadomości starożytnicze o każdym guziku, ferezyi i kamieniu na osadzie szabli, mają pretensyę odżywić przeszłość, która wprawdzie pod ferezyą i kontuszem, owemi wysadzanemi karabelami dokazywała, a w spominkach pamiętników i kronik zostawiła słabą o sobie pamięć, ale nigdy z złożenia razem tej swojej inkrustacyi odtworzyć się nieda. Wiem, żeście poznały fałsz jednych i drugich utworów, jakeście poznały życie i prawdę w owych opowieściach z ostatnich czasów Polski, które niestety po za wiek ośmnasty niesięgają. Właściwej historycznej powieści, jaką Szkocyi dał Walterskott, a Francyi Dumas, niemamy dotąd; natomiast mamy rodzaj między historyą i dziełem sztuki pośredni, o wiele od romansu cenniejszy, mamy historyczne opowiadanie.

Któż niezna opowiadań Karola Szajnochy, przedstawiających nam przeszłość odległą tak żywo, jakby się co wczoraj działo, bo wiążących nasze życie z tą przeszłością, wyświecających ją nami i nawzajem? Któż niezna ciekawych pamiętników o królowej Barbarze Michała Balińskiego, z mniej świetnym pisanych talentem, ale pełnych prawdy i życia?

Dzieje stósunków Zygmunta Augusta z Barbarą, były oddawna bardzo ponętne dla pisarzy. Mamy w tym przedmiocie cztery dramata: Felińskiego, Wężyka, Magnuszewskiego i Odyńca, mamy wspomniane już „Pamiętniki“ Balińskiego i szkice Szajnochy (Tom I Szkiców historycznych). Po tylu pracach moja wyda się może zbyteczną, zwłaszcza, że nowych niemam materyałów, gdyby nie odmienne założenie wyrażone, w tytule: „Trzy żony Zygmunta Augusta.“

Poprzestano na skreśleniu dziejów Barbary. Nam o co innego chodzi. Chcielibyśmy stosunki małżeńskie króla Zygmunta Augusta, których fatalnym rezultatem była bezpotomność, postawić w ramach szesnastego wieku, jako obraz obyczajowy, jakim są rzeczywiście w dziejach; chcielibyśmy wskazać czytelniczkom ową fatalną konsekwencyą ducha czasu i obyczajów ówczesnych, który złamał naszego ostatniego Jagiellona i podał okręt rzeczypospolitej na burzliwe morze wolnej elekcyi. Tak pojęta i przedstawiona, odsłoni nam się, jak myślimy, wyraźniej, owa melancholiczna postać króla, tyle nam drogiego dokonawcy: wielkiego aktu unii lubelskiej.

(C. d. n.)

Anioł — Dziewica — Świat.

Najciższy, z mego cichego chóru,
Elo, braciszku! leć na planetę
Tę, co stworzona z Edenu wzoru,
Upadającą wstrzymać kobietę; —
Kwiat ten omdlony, patrz litości
Zasłania wzrok mój, nad nią czujący,
Jako... kuszona w chwili słabości,
W walce z nieszczęściem o przepaść trąci...
A w tej przepaści, szatan złudzenia
Rozsiał skry złudne w barwach tęczowych,
Te skry to... głupstwo — cząstki kamienia,
Kruszcu żółtego, ziarnek perłowych...
Koncha i ziemia... węglika para —
A ta dziewica podniosłej duszy
Niewiadomości własnej ofiara...
Gdy do tych skierek myśl swą pokusi,
Zapragnie bogactw, i... ściągnie dłonie,
By się ich dotknąć, pobawić niemi:
Strąci ją szatan w przepaści tonie,
I już nie wróci niebu... ni ziemi.

A ona miała swe przeznaczenie:
Spojonym z niebem istnąć żywotem,
Co z siebie cnoty daje natchnienie....
Zniżon do ziemi, kala się błotem...
W niej, gra piękności ducha i ciała,
Jest nam podobną... w tym Stwórcy celu,
By tem, co z górnych sfer odebrała,
Piękna natchnieniem... była dla wielu.
Nam, każdę taką strzedz trza istotę,
Przez czar duchowy, przez uczuć męki,
Przez ziemską hańbę, nędzę, sromotę,
Przez walki z losem i.... na los jęki.
Spiesz, jej ukazać twą piękną postać,
Niech, widząc ciebie, przypomni sobie
Własną swą piękność, którą ma zostać
W duszy i ciele podobną — tobie;
I gdy na tobie spocznie jej oko,
Wtenczas o Elo, bracie mój luby!
Duszę jej z ziemi wzniesiesz wysoko,
I... z nieochybnej wyrwiesz ją zguby,
I... tak rozświetlisz jasność oblicza,
By, przy niej wszystkie jasności ziemi,
Jak są, tak były cieńmi grubemi,
Których nie kocha miłość dziewicza.

Elo skrzyżował na piersi dłonie,
Spojrzał z wyrazem na archanioła,
Pożegnał świętą pokorą czoła,
I słowa jego zamknął w swem łonie.
W mgnieniu swe białe skrzydła rozwinął,
Lżejsze od woni, co z róż się wzbija,
Kiedy ją rankiem słońce rozwija;
I... za bramami Edenu zginął.

Mała izdebka, smutna i ciemna,
A w jej powietrzu woń nieprzyjemna;
Na wązkiem łóżku pościel stłoczona
Kształt odbijała ludzkiego łona,
Znać, że żyjące dopiero wstało,
Albo... umarłe zdjęto ztąd ciało:
Prędzej ostatnie, bo pomięszany
Zapach jałowcu przenika ściany,
Co od komina ciągnie się sznurem,
Wstęgą błękitną na tle ponurem;
Do tej izdebki osamotniałej,
Dążąc do celu, wszedł Elo biały,
A wszedł z czcią taką, jasnością czoła,
Z jaką odleciał od archanioła;
Bo wiedział gdzie jest; że ten kąt lichy,
Wzgardą mijany od ludzkiej pychy,
Był zawsze miłą świątynią Boga,
Gdyż w nim go czciła cnota uboga,
I wszystko, na co tutaj patrzyła,
Łzą i modlitwą swą uświęciła:

Gdzie na obrazku śnieżna obsłonka...
Wisiała Maryi z krzyżem koronka:
Dotknął jej Elo, wnet ziarnka małe
Zamieniły się w lilie białe,
Błyszczące, wonne, z sobą splecione;
Od tego wieńca szedł w każdą stronę
Urok prawdziwy, że... izbę owę
W barwy różowe i liliowe
Ubrał, rozjaśnił, jak tło obrazu...
Że smutek, ciemność, pierzchły od razu.

Po chwili weszła młoda dziewica:
W drobnej jej dłoni pogrzebna świeca,
Na czarnej rzęsie dwa dyamenty:
Dwie łzy, jak duszy talizman swięty,
Stały na straży w chwili cierpienia,
Broniąc na zewnątrz oku wejźrenia
Na światło, słońce, co wtedy gnębi,
Gdy czarny smutek tkwi w serca głębi.
Wosk świecy, jej twarz... to jedna białość,
Jedna powierzchnia: życia stężałość...
Obydwóch ogień teraz wstrzymany,
Byt im na pozór dawał siostrzany.
Weszła, usiadła na łożu cicha,
Oko niewidzi, pierś nieoddycha;
Czy ją ów zimny spokój obwiewa,
Co duszy z ciałem węzeł rozrywa?
Nie — jej to gorycz tak serce pali,
Że łzy schną w głębi, pierś się nie żali.

Za nią wszedł pewnym i śmiałym krokiem
Młody mężczyzna, i słów potokiem
Obarcza biedną, lecz ta nie słucha,
Cała, jak wprzódy, we wnętrzu ducha.
Dopiero, gdy się do niej przysuwa,
Ona dłoń swoję w jego uczuwa,
Wzdrygnie się smutnie, dłoń w szatę chowa,
A z ust ściśniętych wymkną się słowa:

Nieprzerywaj mi mego spokoja,
Jam dzisiaj sama, a matka moja
Już mnie nie strzeże od wszelkiej zgrozy;
Lecz wiem, że będzie strzegł anioł Boży.
Odejdź ztąd, błagam!

Ja twym aniołem,
Dar szczęścia twego w moim jest ręku,
Wszystko, co służy wdziękom dla wdzięku —
Perły zawieszę nad twojem czołem,
Rączki ubiorę w drogie kamienie,
Suknią z koronek kibić obwiję,
Wonią namaszczę włosów pierścienie,
Dyamentami okowam szyję...
Dumna z tych ozdób, z szczęścia wesoła,
Skacząc po szytych w róże kobiercach,

Prawego w sobie ujrzysz anioła,
O których próżno marzy w swych sercach
Słaba prostota, dziwaczna cnota...
Ja mam prawdziwe niebo na ziemi,
Co mi podległe z czarami swemi,
Gdy je mieć zechcę przez czary złota.

Mnie matka moja, chociaż uboga,
Uczyła gardzić znikomem złotem,
Zapewniając mnie w imieniu Boga,
Że praca moja, oblana potem,
Szczęściem jest ludzi, ich przeznaczeniem.

Matka się zrosła z pracą, cierpieniem,
I przekazała tęż samą dolę
Córce swej: własną niemoc — niewolę.

Wiem, matka moja zbyt mało znała,
Co zna świat, jego mądrość uczona,
Jedyną książkę w życiu czytała,
Ot tę, co leży, łzami zroszona
W ostatniej chwili, patrz, plamy świeże
Na tej tu karcie, gdzie napisano:
Ojcze Przedwieczny, ja w Ciebie wierzę!

Była już starą, lecz życia rano
Ma inne książki, i prawa inne,
Pierwsze dam poznać, drugie ci wskażę:
Pójdź tylko ze mną, a te dziecinne,
Czci macierzyńskiej, porzuć ołtarze,
Przy których nadal kapłaństwie lichem
Czeka cię praca i poniżenie.

O prawda — słówkiem odpowie cichem,
Żyłyśmy biedne, tłumiąc cierpienie
Pieśnią, pacierzem, słoneczkiem Bożem,
Co nam świeciło w te szybki małe....
Ciesząc się jego promieniem hożem,
Wiosną czy zimą, przez lata całe.
Żyłyśmy wichrem, co nam w kominie
Jęczał żałośnie głosem duszyczek;
A gdy on znowu, znowu przeminie:
Żyłyśmy kwieciem naszych doniczek;
I kołowrotka ustawnym ruchem,
Co wciąż warkotał snowaną przędzą...
Burzą, powietrzem słotnem lub suchem,
I zrosłą z nami siostrzycą: nędzą.
I... jak stal dobrze zahartowane,
Myśmy nieznały chęci dostatków.
Były i chwilki często różane,
Jak na bagnisku nie braknie kwiatków,
Owszem, najczystszy tam zawsze rośnie,
Choć śród zgnilizny — ztamtąd do światów
Podnosi kielich w wschodzącej wiośnie
Lilia cudna, królowa kwiatów.

Lecz teraz niewiem, czy mi wystarczy
Słonko, wiatr, kwiatek, samotna chatka,
I kołowrotek choć znów zawarczy,
Którego strzedz mi kazała matka.

I tu ucięła, ukrywszy w dłonie
Białą twarz, i łzę, co z ócz pociekła;
Walcząc tajemnie w zbolałem łonie —
Walka to była nieba i piekła.
Naprzemian radość i strach nieznany
Ciśnie jej serce, przenika duszę.

Będęż szczęśliwą, gdy się pokuszę,
Opuścić domku tego tu ściany?
Jeśli to litość, którą się ludzie
Dzielą z bliźniemi po myśli Bożej;
Czemuż ją przyjąć serce się trwoży,
I stawa, jakby przeciw obłudzie?
Matko, rozjaśnij tę moją trwogę!
Przestąpić próg ten twojej pamięci,
Dla szczęscia, które sobą mnie nęci,
Natchnij mnie droga matko, czy mogę?

I długą chwilę zamknięta w sobie,
Ze łzą przyschniętą, jak martwa stała,
Nieśmiejąc słówka wyrzec na dobie,
Bezwładna w duchu, w myśli skostniała.
Aż uśmiech dziecka zaigrał mile
Na wąskich ustach, rozjaśnił oko,
Zdało się, jakby w tę cichą chwilę
Dusza jej gdzieś się wzniosła wysoko.

Lecz młody człowiek, wierny zasadzie,
Dobywa złoto, świetne klejnoty,
I z ujmującym wdziękiem prostoty
Przed nią z tryumfem na stole kładzie;
Ale dziewicy rozpromieniony
Wzrok, w jednem miejscu stał wytężony...
Czy strętwiał znowu wspomnień żałobą?
Ona ujrzała teraz przed sobą
Anioła Elo, z takim wyrazem,
Jak wszyscy ziemscy młodzieńcy razem
Nie patrzą na swe oblubienice;
Tak miał przesłodkie czoło, żrenice,
A taka czystość w owem wejrzeniu,
Niebiańska, święta, jak w zachwyceniu
Bernard na obraz patrzył Maryi.
Dziewica kornie uchyla szyi,
Serce jej bije, przeraża trwoga,
Elo uklęka, dziewicy noga
Gnie się, i coraz trwożliwsza, blada,
Na oba przed nim kolana pada:
A on jej zwity ten z lilij wianek
Oddając, rzecze: to twój kochanek,

W dziewictwie twojem rozkosz, strój czoła,
Przyjmij go z ręki twego anioła;
W lilij tych czyste, wonne kielichy,
Gdy składać będziesz twój smutek cichy,
Niewyczerpane zyskasz pociechy;
Nietrwoż się niczem, koło twej strzechy
Skrzydła opieki, krążąc, rozwinę,
Każdą złą niemi zwieję godzinę,
Osładzać będę dzienną twą pracę,
Pieśnią ją moją zawsze opłacę,
A Bóg, co kocha lilie dziewice,
W swych cię rozkoszy przyjmie tajemnice,
Że ani strojów, złota i kamieni
Nie będziesz pragnąć, tylko Boskich pieni
Staniesz się harfą, jak są aniołowie.
O, któż to wszystko określi, wypowie!
A kiedy czysta miłość do twej chatki
Przyjdzie z młodzianem dającym ci serce,
Ja przed ołtarzem zwiążę wasze ręce,
Pobłogosławię imieniem twej matki;
Ta miłość piękna, rajskim swoim kwiatem
Domek twój, ciebie, tak cudnie ustroi,
Że, jak królowa u złotych podwoi,
Będziesz się czuła odziana szkarłatem,
Wolność, ów ziemski dyament bezcenny,
Bez której, życie ciągły ból, sromota,
Edenu obraz stawi ci codzienny;
Bo niewolą grzech — wolnością cnota.

Jeszcze dziewica schylona ku ziemi
Klęczała, pełna zachwytu, pragnienia,
Elo uleciał, tylko głosu brzmienia
Dzwonią jej duszy tonami boskiemi —
Wieniec na ręce opadłej spoczywa;
Podniosła oczy, wszędzie jasno, miło.
Anioł, mężczyzna — czy mi się to śniło,
Niewiem, lecz słyszę, anioł przy mnie śpiewa,
O ten spiew luby, niech mi zawsze płynie,
I to oblicze, tak cudne, tak święte,
Niech nigdy z mojej pamięci nie ginie,
Za niem me myśli, w światłości poczęte,
Ulecą słodko od ziemi do nieba;
Cóż mi ubóstwo za szczęście odbierze?
Nad to co czuję, więcej mi nie trzeba,
Nie w złudę bogactw, w Boską piękność wierzę.

Ha, ha, szyderski śmiech drgnął za drzwiami,
I brzęk bezwstydny wziętego złota,
Anioł go zgłuszył swemi pieśniami,
I ocalała sierota.

Dzięki braciszku, archanioł rzecze,
Z łona tej skromnej, czystej dziewicy,
Wielkie i zacne plemie człowiecze
Miłem się stanie Bożej źrenicy,
Nie będzie grzeszyć chciwością złota —
W żadnym braterskim słusznym zamiarze
Niezachwieje się dłoń jego cnota;
Tym kałem kałów rąk swych nie zmaże.
A teraz wzlećmy przed miłość Pana,
Dzielić z Nim nasze uczucia tkliwe.
Jedna dziewica uratowana
Wzniesie do Bóstwa ludzkości niwę.
I objęli się za szyję społem,
Przez mlecznej drogi wędrując szlaki,
Opromienieni gwiazd i słońc kołem,
Aż znikli w niebie — niebieskie ptaki.

L. A.

OBRAZ Z ŻYCIA:

Pomyłki,

przez

MARCYANNĘ ....

— Już to przyznaj kochany bracie, że nasza Ewusia śliczna panienka. I trudnoby jej cokolwiek zarzucić. Mówi równie dobrze po polsku, po francusku i po niemiecku, serdecznie zagra mazurka i skocznie go zatańczy.

— Moja panno Leontyno, moja siostro — łagodząc głos, odparł pan Władysław — Ewusia nadto podobna do ojca, do mnie, nie mogę więc bezstronnie o jej powierzchowności mówić. Co zaś do jej uzdolnienia, zdaje mi się, że przesadzacie. Mówić różnemi językami i sroki potrafią. Ot sobie jest szesnastoletnie dziecko, dużo uparte (już to wzięło z ojca), dużo rozpieszczone, i aż nadto zarozumiałe, a co ma do podziękowania matce i cioci; ale co najgorsza, Ewusia jest dziewczęciem zbyt mało myślącem. Mnie zanadto zatrudnia chęć zapewnienia bytu dzieciom w przyszłości. Może ja bym się i nie umiał wziąść do tego, aby od małego dziecko wprawiać do zastanawiania się, widzę jednak, że wypadało jakoś inaczej zakierować pojęciami Ewusi.

Pani Władysławowa, wielce łagodna kobieta, spojrzała jakby z wymówką na męża, a nareszcie się odezwała.

— Ja niewiem doprawdy, czego ty dalej od tych dzieci wymagać będziesz?! Nie dość ci, że nam ich wszyscy sąsiedzi zazdroszczą!

— Bo i mają czego zazdrościć — wpadła jej w mowę siostra, szczebiotliwa panna Leontyna — mają czego zazdrościć, takich dzieci ładnych, pięknie odchowanych, dzieci czułych, serdecznych...

— I głupich! — dodał pan Władysław.

— Ależ mężu, mężu! choć nie tak głośno odsądzaj własne dzieci od rozumu. Coby na to powiedzieli ludzie, gdyby kto obcy słyszał? Ojciec zwyczajnie wymaga wiele, to mu się za małem zdaje wszystko co jest — lecz gdyby kto obcy usłyszał, gotów byłby uwierzyć ojcu, jeżeli co złego mówi o dzieciach.

— Uspokój się żono, uspokój, dzieci mają czasu jeszcze dosyć do nabycia rozumu, przecież najstarsza Ewusia ma dopiero lat szesnaście. Jużci muszę wam się przyznać, że mnie nieraz dreszcz przechodzi, gdy uważam jak ona bujną ma imaginacyę, wygórowaną czułość, a jak mały rozsądek. Ależ jakkolwiek moje za-

trudnienia dużo zabierają czasu, choć w tem i wprawy nie mam, będę przecież próbował dziewczęciu trafić do pojęcia. Wezmę się sam do tego, iżby jej naukę rzetelnie ku dobremu skierować.

— Oj bracie, bracie, trudno abyś miał co czasu na poprawianie dzieła naszego — trochę z przekąsem odezwała się panna Leontyna. — Ewusia gdzie się pokaże, zwracają się za nią oczy chłopaków. Ot i Filipkiewicz młody, choć właśnie co z Wiednia powrócił, i pewnie tam dość ładnych panien widział, a stanął jak wryty, gdy ujrzał Ewusię, ot tu kiedyś, jak przyszedł powitać się z nami. Mówił potem że się zdziwił, że ją dzieckiem zostawił, a panną już wita — ale ja nie w ciemię bita dobrze dojrzałam, jak się w jego oczach Ewusia wydała!

— No, to i cóż? Czy jabłko co się od słońca zaczerwieniło, trzeba zaraz zerwać bo ładne, choć jeszcze nie dojrzało?

— Jabłko? nie bracie; ale twoje lekcye czy znajdą u Ewusi ucho uważne? Ona przecież widzi także, że się podoba.

— Podoba, podoba — odparł ojciec — czy to całe szczęście?

Pan Władysław, obywatel małego miasteczka, ale aptekarz zamożny, zamyślił się niemało po tej rozmowie. Filipkiewicz, sąsiad z daleka, bo ich realności się nie stykały ze sobą, był drugim równie zamożnym obywatelem tegoż miasteczka, zarazem właścicielem poczty. Oni obadwaj wraz z miejscowym proboszczem, stanowili niejako wyższe w miasteczku towarzystwo. Musieli zgadzać się ze sobą, spotykając się często jak to bywa zwykle w małem miasteczku. Jednak, pomimo chęci, bywali nieraz ze sobą poróżnieni; bo stary Filipkiewicz raptus, humoru bardzo rozmaitego, miewał swoje przywidzenia, lubił rozkazywać, podbijać niejako słowem i czynem wolę drugich, by mu ulegali. Aptekarz powolny, uczciwy, ale podejrzliwy i zawzięty, umiał się opierać uroszczeniom tamtego, i choć urazy przebaczał, zapomnieć ich nie mógł. Właśnie teraz obaczył, że syn Filipkiewicza, młodzieniec, a po kilku latach niebytności w domu ojca, wrócił już jako urzędnik, mający stałe własne utrzymanie (w odwiedziny niejako), na koniu harcując, skręcił ku jego pomieszkaniu. Tejże chwili do pokoju, gdzie byli rodzice, wbiegła i Ewusia, cała zaczerwieniona. Stanęła przed zwierciadłem i sploty bujnych ciemnych włosów poprawiła, niby od niechcenia, powiodła wzrokiem ócz niebieskich ku gankowi.

— Aha, pan Ernest — wymówiła, jakby go dopiero ujrzała.

— Tak, pan Ernest — wyrzekł zimno ojciec — ale otóż i pan Seweryn, jego szkolny kolega.

Tym drugim ucieszył się pan Władysław, a gdy po przywitaniu młody Filipkiewicz, zręcznie i niezręcznie się wychwalając, bawił kobiety; aptekarz z panem Sewerynem wysunął się na cygarka, i zaczął rozmowę.

— Czy pan, panie Sewerynie, z panem Ernestem zawsze kolegowałeś za granicą, i zgodnie?

— O ile można było. Jest to chłopak bardzo zmiennego humoru, dobrego serca, ale raptus, w chwili uniesienia prawie nieprzytomny.

— Tak? to zupełnie jak ojciec.

I wkrótce dotlały cygara. Gospodarz z panem Sewerynem wrócił do towarzysta, albowiem wiedział już czego wiedzieć pragnął.

Wieczorem, gdy odjechali goście, mama i ciocia zaczęły radzić półgłosem o jakichś przyborach stroju dla Ewusi. Widziały u młodej mężatki z sąsiedztwa, bywającej w miejscowym kościele, jakieś ubranie, w którem Ewusi byłoby bardzo do twarzy. Zasłyszało dziewczęę, i pełna radości pomyślała: Jak to dobrze pójść za mąż, ta młoda pani ma taką ładną wyprawę! W tem przypomniała sobie kilka dwuznacznych słów pana Ernesta, które zdały jej się wyrażać tęsknotę za towarzyszką życia. Poszła w kąt i dumała, i marzyła, a skutkiem tych marzeń, tego dumania było, iż ją imaginacya stawiała w domu Ernesta, ustrojoną, uwielbianą, zazdrości godną etc.

— Jak ci się zdaje Sewerynie — mówił Ernest — wszak tym paniom wszystkim trzem zawróciłem głowy! nieprawdaż?

— Gdybym ci zaprzeczył, nieuwierzyłbyś mi — odrzekł Seweryn.

— Alboż jam to nie ładny chłopiec? nie trzem, ale trzydziestu razem potrafię coś grzecznego powiedzieć, nadskoczyć, zgrabnie się pochwalić, zalecić.

— Nie przeczę, nauczyłeś się pomiędzy Wiedeńkami tego, co one nazywają, *kurmachen*, niewiem jakby to nazwać po polsku, nadskakiwać, mało, ot tak niby służyć jak piesek na dwóch łapkach.

— No, no, Sewerynie, bo zaczynasz być niegrzecznym.

— Słuchaj Erneście, Wiedeńki wiedzą, że to czcza zabawa, więc się w ich sposób możesz bawić z niemi, a choćby się trochę która i zbałamuciła, w wielkiem mieście roztargnień dużo, szkody ztąd niebędzie. Ale niema nikogo pochopniejszego do romansów, jak dziewczęta małych miasteczek. Wszystkie się pomiędzy sobą znają, roztargnień, a nawet rzetelnych zatrudnień mało, jedna drugą chętnie się bawi; ledwie że ziemi odrosną, już się zabawiają i chwalą pomiędzy sobą grzecznościami swoich wielbicieli. Wierz mi, nie igraj z ogniem! Nawet ci powiem, że ojciec wcale niechętnie patrzył na twoje pląsy pomiędzy kobietami.

— Ale dla czegóżby to niechętnie? W tak młodym wieku mam już i urząd, to nie każdemu się uda. Wierz mi, ta panna aptekarzówna, to egzemplarz rzadki, brunetka z niebieskiemi oczami, jakoś mnie bardzo za serce chwyciła.... i to mówią, że pan Władysław ma grube pieniądze. Ładna panienka z posagiem. Ot, cóżbyś mówił, gdybym się ożenił nim urlop minie?

— Tybyś gotów, u ciebie wszystko prędko, jednak to na całe życie krok stanowczy, wypada się wprzód i to dobrze zastanowić.

— E! co tam, byle się żenić. Potem się zastanowić.

Myśl raz powzięta u pana Ernesta, bujała jak chwast na sprawnym zagonie. Wkrótce potrafił swojego ojca przekonać, że się jemu ożenić koniecznie potrzeba. I nie jadł i nie spał, i miejsca sobie nie mógł znaleść, aż póki nie umyślił, jakiemi słowami, w jakiej postawie, (bo próżnemu wielce młodzieńcowi, to wcale obojętnem nie było), ma się oświadczyć Ewusi, matce, cioci, ojcu, ażeby sobie wszystkich zjednać, i *postawić na swojem*, o co mu właśnie głównie chodziło. Ewusia rumieńcem, milczeniem, wejrzeniem ukradkiem rzuconem, wkrótce zdawała się przystawać na zabiegi Ernesta. Mama i ciocia zapytywały łaskawie o sposób życia, zagospodarowanie w domu młodego urzędnika. Osądził z tego wszystkiego, że z niemi sprawa łatwą będzie. — Ale ojciec to sęk! Zawsze jakiś zimny, nawet przymuszenie grzeczny, a prawie zawsze przytomny, nawet niechętnie oddalający się z pokoju gdzie była córka. Ha! trzeba i ten sęk przełamać — pomyślał Ernest. Więc jednego wieczora, strojno, z miną uroczystą, w towarzystwie swego ojca stawił się przed ojcem Ewusi, prosząc formalnie o jej rękę.

— Daruj panie Filipkiewicz, daruj panie Erneście. Wdzięczny wam jestem za waszą dla mojego domu życzliwość i przyjaźń; ale na zamęście to w żaden sposób pozwolić nie mogę. Ewusia jeszcze za młoda.

— Jak więc długo pan dobr. każesz czekać?

— Czekać? Nie panie Erneście, nie czekaj. Ja na ten związek nigdy nie pozwolę.

Słowa tak stanowczo odmowne pana Władysława obraziły obydwóch Filipkiewiczów. Wsiedli na bryczkę i odjeżdżali. W tem rozległ się po domu przerażony głos cioci Leontyny:

— Ewusia mdleje!... Ewusia mdleje!...

— Na probostwo! — krzyknął na woźnicę stary Filipkiewicz, i w parę minut stanęli obydwa ze synem w domu proboszcza. Tu Filipkiewicz całym gniewem wybuchnął na aptekarza. Proboszcz i jego siostra wypytywali, łagodzili, zaczęli dochodzić, domyślać się, co by była za przyczyna odmowy aptekarza? przyszli w końcu do przekonania, iż to dawne urazy niezapomniane panu Filipkiewiczowi przez p. Władysława tej odmowy są przyczyną.

— Ale czyż się godzi dla tego niszczyć szczęście tych dzieci, które się kochają?

— Księże proboszczu, ja nieraz przepraszałem starego, a teraz spodziewam się, że pan jemu przemówisz do sumienia, temu człowiekowi zawziętemu.

— Proboszczu! życie moje w twoim ręku! — Wykrzyknął pan Ernest. — Ja bez Ewusi żyć nie mogę. — I przybrawszy postać teatralnego bohatera, zaczął pan Ernest niby ze sobą samym się naradzać, jaką śmiercią ma zakończyć życie, nieznośne mu bez Ewusi?

Nim minęła godzina, mama i ciocia od siosty proboszcza wiedziały, że Ernest godzi na swoje życie i tylko namyśla się nad rodzajem śmierci. I uwierzyły w to, chlubiące się Ewcią niewiasty, co było pomyłką bardzo oczywistą, bo kiedyż samobójca zwierza się komu ze swoich zamiarów? Pan Ernest też nie myślał wcale odebrać sobie życia; ale postawić na swoim, i nie pozostać upokorzonym w miejscu swojego urodzenia. Postanowiono zataić przed Ewusią? tę straszną rozpacz Ernesta, bo czyż dziewczyna taka czuła potrafiłaby żyć, stawszy się niewinną przyczyną śmierci kochanka, zauważała panna Leontyna. Lecz tem nieszczęściom obu rodzin, wypada przeszkodzić, przełamując bądź co bądź postanowienie pana Władysława. Więc nazajutrz rano miał proboszcz szturm przypuścić, w odwodzie jemu stanąć miała mama i ciocia, Ewusię miano usposobić, aby jako rezerwa także wystąpiła.

— Jak się masz proboszczu? — zawołał pan Władysław — witaj mi tego ślicznego poranku.

— Poranek pogodny i jasny — odrzekł kłaniając się proboszcz — ale w sercach, w sumieniach ludzi używających darów Bożych, czy także pogodno, jasno i spokojno?

— Dalipan proboszczu, uważam że się pan wybrałeś z jakąś do mnie reprimendą! O cóż by to chodziło?

— A o cóż innego jak o spokój, pojednanie, chrześciańską zgodę w miasteczku? Czyż się godzi panie sąsiedzie, dawno przebaczonych uraz tak dalece pamiętać, iżby nawet własne pańskie dziecko w swoim losie tę pamięć zgubnie poczuwało? Bo dla czegóżby innego wczoraj Filipkiewicz od pana odmowną otrzymał odprawę?

— Naprawdę proboszczu — odrzekł pomału aptekarz, trafiłeś na trop, ale nie zupełnie prawdziwy. Siadaj tu na ganku i słuchaj mnie. Bez tego niema ani w domu, ani w miasteczku nikogo roztropnego, przed kimby warto było usprawiedliwić się. A niezrozumianym i potępionym być od wszystkich bardzo przykro. Pamięć uraz wpłynęła na postanowienie moje; ale nie głównie, tylko jako przyczyna wyjaśniająca położenie. Oto słuchaj, w rzeczach moralnych, w rzeczach ducha, bywają pewniki, które obrachować tak łatwo, jak liczby w algebrze. Sąsiaduję z daleka z Filipkiewiczem, muszę się z nim widywać raz w miesiąc, czasem raz w tydzień, czasem codzień. I miałem już z tego powodu tyle od niego przykrości, że jakkolwiek po chrześciańsku przebaczam, jest on dla mnie zawsze człowiekiem nieprzyjemnym. Teraz uważaj proboszczu, moja Ewusia do mnie z powierzchowności, a i ze skłonności zupełnie podobna. Tak samo i Ernest zupełnie jest do swojego ojca podobnym. Czyż więc podobna, aby się ci ludzie kochali i to całe życie? Skoro ja rzadko i z daleka widując Filipkiewicza, mając doświadczenie, naukę szkolną, otarcie się z ludźmi i ze światem, muszę go obchodzić jak jajko, a raczej jako gwóźdź sterczący, aby o niego nie zawadzić, cóż poczęłoby to biedne dziecko z jego synem? Ja nie mogę, pomimo najlepszej chęci, zapomnieć tych uraz, których było kilka, czyż ona potrafi przebaczać, co dzień, może kilka razy na dzień? Jakże myślisz proboszczu?

— Pytanie, trzeba przyznać, zupełnie inaczej postawione jak się spodziewałem — mówił proboszcz. — Lecz któż wie, jak pan zgadzałbyś się z Filipkiewiczem, gdyby był kobietą? Może ta sama żywość, która pana obraża, byłaby przyczyną iżbyś go pan więcej kochał. Ciągle przebaczając, wziąłbyś byś pan górę nad jego umysłem i kierowałbyś nim mimowolnie.

— Mogłoby być, ale mego wykształcenia Ewusia nie posiada. Wierz mi proboszczu, ona jeszcze bardzo dziecinna, bardzo niedorzeczna, bardzo nieznająca i świata i ludzi. Jej samej trzeba podpory w mężu rozsądnym, jakże ją można dawać za podporę półszalonemu? Oboje upadliby.

— Co pan mówisz, wszystko jest pełne rozsądku i umiarkowania, gdyby się ci młodzi ludzie nieznali i nie kochali.

— Nie kochali? Proboszczu, czy to ma zaraz być miłością, co powoduje takim Ernestem? Próżnym jest nad miarę, może mu podchlebiła myśl, że miałby ładną żonę, może i co innego, zresztą taki raptus prędko się zakocha i odkocha.

— A Ewusia, córka pana?

— Alboż to Ewusia Ernesta kocha?

— O tak mężu — odezwała się pani Władysławowa, która już chwilę przysłuchiwała się rozmowie. Wczoraj po odjeździe Filipkiewiczów, zamknąłeś się w twoim pokoju, więc wcale niewiesz, że po tym ich nagłym odjeździe Ewusia trzy razy nagle zemdlała, domyśliła się co zaszło. Powiem ci, że całe miasteczko mruczy na ciebie. Pytają się jedni drugich, na którego hrabiego lub księcia czekasz dla Ewusi.

— A przecież nasza córka ma dopiero lat szesnaście.

— Bracie, bracie — odezwała się teraz z kolei panna Leontyna — wiele kobiet przeżyło lat sześćdziesiąt, a nieobudziło ni razu takiej gwałtownej miłości, jaka wre w sercu pana Ernesta. I choć byś ten związek rozerwał, czy sądzisz, że inne mniej żywe uczucie zadowoli ją kiedy? Zawsze sobie przypominać będzie pierwszego kochanka.

— Panna Leontyna ma racyą — powiedział proboszcz, i oskarżać będzie ojca, że jej nie dopuścił być szczęśliwą.

— Ja myślę panie bracie, że przecież jeszcze na ten związek pozwolisz?

Teraz pokazała się Ewusia, z włosami w nieładzie, oczyma zapłakanemi, pobladła, złożyła rączki, uklękła przed ojcem i drżącym głosem z cicha zapytała:

— Tatka pozwoli? pozwoli tatka? — i mocniej a płaczliwie — prawda że tatka pozwoli?

— Słuchaj, gdybym pozwolił, to nie pobłogosławię, czy obejdziesz się bez błogosławieństwa ojca?

Ewusia patrzyła na ojca, jakby nie rozumiała o co jej pytał, i znowu zaczęła:

— Tatka pozwoli?

— Pozwalam! — wykrztusił ojciec.

— Tatko pozwolił, pozwolił — wołało dziewczę uradowane — i kobiety cofnęły się wszystkie do domu, bo postrzegły z daleka jadącego Ernesta na koniu.

— Źle, kochany proboszczu, bardzo i bardzo się pomyliłem, zamiast czas obracać na zbieranie posagu dla Ewusi, trzeba było raczej starać się wyrobić w niej rozsądek. Z dwóch półgłówków nie będzie jednej głowy.

— Oddajmy to wszystko kierunkowi Boskiemu, odparł proboszcz.

— Inaczej nie można, ależ i przysłowie mówi: Strzeżonego pan Bóg strzeże. *(C. d. n.)*

PRZEWODNIK.

Powieść z norwegskich i szwedzkich dziejów

Śnieżne, czarne, w niebo piętrzące się góry Norwegii posępnie spoglądały w dolinę, w której stało kilka chat, jeszcze w zagraniczeniu szwedzkiem.

Chaty zanurzyły się w głębokim śnie, jakby w nich żywego ducha nie było. Jedynie małe światełko błyszczało z okienka domku gościnnego. Był ten domek własnością starego Sweyne-Koping-a, Szweda na wskróś, w każdej kropelce krwi.

Odwarły się cichutko drzwi, wiodące do przedsionka gospody, zkąd wyszła dziewica słusznego wzrostu, wysmukłej kibici, z pięknie spływającemi jasnemi włosami— szła ku sąsiedniej chatce. Jeszcze do chatki kawałek było drogi, gdy się z kimś zdybała.

— Czyś ty Alfie? — zapytała dziewa cicho.

— Jam. — Odrzekł młody myśliwiec norwegski.

— I tak późno odważyłeś się przekroczyć Tydel, jak gdybyś nie wiedział, że co krok z śmiercią zdybać ci się można w górach o tej porze?

— Do ciebie szedłem — rzekł Alf — a znam góry, jak ich nikt inny nie zna... ani żaden Norwegczyk, ani żaden Szwed, a umiem sobie radzić w niebezpieczeństwie. Ale dajmy temu pokój, o ważniejszych nam mówić rzeczach. Ot powiedz mi moja *Rikza*, co się z nami stanie? czy ojciec twój na mnie łaskawszy czy nie?

Dziewczę westchnęło.

— W niczem się nie zmienił. Lubi cię, bo lubi myśliwców, lubi cię, bo lubi odważną, silną młodzież; ale nie lubi w tobie... — tu przerwała dziewica.

— Norwegczyka, — rzekł Alf — i dla tego wzbrania mi ręki swojej córki, i serca nasze rozdziera. Jak mu się podoba... kiedyś, kiedyś pożałuje tego bezdzietny na śmiertelnem łożu... pomocy obcych zażąda kiedyś. Dzisiaj jeszcze u was przenocuję, nazajutrz pójdę w świat za oczy, niechaj się Pan Bóg opiekuje Norwegią i Szwecyą.

— Alfie! nie bądź porywczym — błagało dziewczę, płacząc.

— Dla nas nie ma żadnej nadziei — mówił kochanek. — Poddamy się losowi, on nas w tem życiu tylko rozłączy, po śmierci znajdziemy się znowu i nierozłączymy się nigdy.

— Więc chcesz, abym podal od ciebie marniała, nikła na tym biednym świecie?

— O nikniej, nikniej, piękna różo naszych okolic! nic nie poradzim, i ja zniknę.. znikniem oboje... nic to; lecz nie zapominajmy o sobie.

— Dobrze Alfie! dobrze mówisz, niezapominajmy o sobie.

— Ścisnąszy sobie nawzajem ręce, nie mówiąc już ani słowa, weszli do chaty starego Sweyna-Koping-a.

— O ho, ho! myśliwiec z Filefjeld... u nas — ozwał się stary Sweyne. — Witajcie nam, wszakże jako przyjaciel wstąpiliście w moje progi?

— Jestem wam przyjacielem, chociaż marnicie szczęście mojego żywota.

— Dajcie temu pokój — rzekł stary — znacie mnie, znacie moje zdanie o ludziach i ich stosunkach: czego Pan Bóg dla nas nie stworzył, tego nam nie pożądać. Niechaj się kojarzy Norwegczyk z Norwegką, Szwed z Szwedką. Na Boga was upewniam, że gdybyście byli Szwedem, z chlubą i rozkoszą przycisnąłbym takiego zięcia do serca. Nie nam porządek zmieniać... Lecz cóż was do nas sprowadziło?

— Przyszedłem się z wami pożegnać.

— Cóż to... chcecie nas porzucić?

— Na zawsze.

— A dokądże myślicie się udać?

— W świat za oczy.

— W świat za oczy... no, no! dosyć by było daleko w świat: bo nieźle oglądnąć się wam młodemu po świecie... zobaczycie tam i niejednę hożą dziewicę... moja córka wybije się wam z głowy. No moja Rikza! przynieś no nam miodu i przekąski, niechaj żwawy nasz sąsiad przekona się, że nie bez współczucia żegnamy się z nim. Młodziku! podaj rękę — rzekł Szwed, gdy córka już z izby była wyszła. — Minie chwila, minie druga, a przestaniesz się gniewać na mnie, twoja namiętność ochłódnie, a i przekonasz się, że zasada, którą się rządzę, jest owocem mnogich moich doświadczeń, dość długiego mego żywota. Podaj starcowi rękę młodzieńcze, żwawy, kochany młodzieńcze! którego może już i nie zobaczę, podaj mi rękę życzliwie.

— Podaję ci ją ojcze! życzliwie, serdecznie — rzekł Alf i złożył pocałunek na ręce Sweynego.

Wnet weszła do izby z załzawionemi oczyma dziewczyna, przyniosła miód, przekąskę i puhary.

— Więc mamy ład, porządek — i zgoda między nami — rzekł ojciec. — Ot pogawędźmy, ucieszmy się jeszcze z sobą, nim nadejdzie pora snu. Chodźno Rikza! dziecię moje, siądź sobie koło naszego gościa, ot tu przy poręczowem krześle, na którem chciejcie usiąść sąsiedzie.

Usiedli przy nakrytym stole; lecz rozmowa wnet się przerwała, a stary podaremnie pokilkakroć usiłował na nowo ją zawiązać. Serca młodych zanadto pogrążyły się w smutku, przed oczami młodych nie było przyszłości, nie było szczęścia, nie było pociechy. Wszystko troje byli jakby nie swoi; więc stary chciał już zabierać się do spoczynku, gdy w tem przed chatą naprzód szmer, a potem coraz głośniejszy gwar posłyszano.

— A cóżby tam mogło się dziać o tej porze? — zapytał stary, podejrzliwie spoglądnąwszy na Alfa.

— Przecież nie mnie w czemkolwiek podejźrewacie? odparł młodzieniec.

— Nie — rzekł stary — wyście czesny, więc nie zdolny żadnej podłości człowiek... ależ co ten hałas o tej porze znaczy?

— Wnet się dowiemy — rzekł Alf, wziął strzelbę na plecy i wyszedł.

(C. d. n.)

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.